

Mandela i decyzje, których nie oczekiwano

11 stycznia 2014

Jego imię, skandowane jak świat długi i szeroki, stało się symbolem oporu, wolności, równości. Ale czy sam Nelson Mandela, bojownik uparty i przebiegły, chciałby być symbolem? Zirykowałaby go sama myśl o tym, że lamentujemy pod jego pomnikiem. Iść do przodu – powtarzał – realizując wielkie zadanie emancypacji.

Odejście Nelsona Mandeli będzie prawdziwym końcem XX w., stulecia, którego był jedną z emblematycznych figur. To może ostatni – wyjąwszy Fidela Castro – z wielkich ludzi, których próbujemy wymazać z pamięci. Nasza epoka bowiem za wszelką ceną chce zerwać ze wszystkimi mitami.

Mandela nie był i nigdy nie chciał być świętym, był za to – w czasie swego długiego uwięzienia i po nim – żywym mitem. Republika Południowej Afryki, geograficzny amalgamat o chwiejnej tożsamości, w jego osobie zyskała swoją Ideę. I nie chciała się z niej wyzwolić, bo dla nowego istnienia społeczności poapartheidowej mit społeczeństwa bez mitów może być niebezpieczny.

Trzeba przyznać Mandeli, że konsekwentnie – choć nie bez szyderczej intencji – podkreślał, iż nie jest wcale taki święty. Nikt nie mógłby jednak zaprzeczyć, że to postać w najwyższym stopniu niebanalna. Jak wiadomo, w reakcji na apartheid, będący przecież czymś więcej niż zwykłą formą kolonialnej dominacji czy rasowej opresji, pojawił się pewien rodzaj niezwykłych, nieustraszonych kobiet i mężczyzn, w walce o sprawę zdolnych do najwyższych poświęceń. Dlaczego to właśnie Mandela został symbolem tej walki? Bo w wielu momentach swojego życia potrafił – czasem pod wpływem okoliczności, ale częściej z własnej woli – podejmować

decyzje, jakich nikt się nie spodziewał.

JAKBY WSZYSTKO ZA KAŻDYM RAZEM ZACZYNAŁO SIĘ NA NOWO

W gruncie rzeczy jego życie można by streścić tak: człowiek zawsze czujny, zawsze na posterunku, którego nieoczekiwane i cudowne powroty przyczyniały się dodatkowo do mitologizacji.

Źródłem mitu jest jednak coś więcej niż pragnienie świętości i głód tajemnicy. Źródło to bije w sąsiedztwie śmierci, tej podstawowej formy odejścia i rozstania. Mandela zetknął się z nią bardzo wcześnie, kiedy jego ojciec Mphakanyiswa Gadla Mandela oddał ducha prawie na jego oczach, z fajką w ustach, w niepowstrzymanym ataku kaszlu, którego nie łagodził jego ukochany tytoń. To pierwsze odejście było zapowiedzią następnych. Młody Mandela w towarzystwie matki opuścił Qunu – wioskę, w której spędził dzieciństwo i część okresu dojrzewania, z taką czułością opisaną przez niego w autobiografii. Powrócił tam po wielu latach pozbawienia wolności, by zbudować dom będący dokładną repliką ostatniego więzienia.

Odmówił pójścia drogą tradycji – jako człowiek u progu dorosłości wyjechał po raz drugi. Księżę-uciekier zrezygnował z kariery wodza swojego plemienia Thembu. Udał się do Johannesburga, rozwijającego się wtedy dynamicznie górniczego miasta, miejsca społecznych, kulturowych i politycznych sprzeczności zrodzonych przez to iście barokowe splątanie kapitalizmu z rasizmem, które w 1948 r. przybrało formę zwaną apartheidem. Zgodnie z oczekiwaniami i ustaloną kolejną rzeczy miał zostać wodzem. Tymczasem on nawrócił się na nacjonalizm, tak jak inni przyjmują nową religię. Górniczy Johannesburg stał się główną areną jego zmagania z losem.

Zaczęła się bardzo długa droga Mandeli przez mękę: umartwienia, ciągłe aresztowania, prześladowania, nieustanne ciągnięcie po sądach, regularne pobyty w więzieniach – gdzie nie ominęły go tortury i rytuały upokarzania – coraz dłuższe

okresy życia w podziemiu, odwrócenie porządku dnia i nocy, konieczność maskowania się i przebierania, rozwalone życie rodzinne, porzucanie kolejnych miejsc zamieszkania. Stał się osaczonym partyzantem, uciekinierem ciągle na walizkach, za jedyne go przewodnika mającym wiarę, że kiedyś, w przyszłości, powróci.

Mandela wziął na siebie ogromne ryzyko. Żył tak intensywnie, jak się tylko dało – jakby wszystko za każdym razem zaczynało się na nowo i jakby każdy raz był tym ostatnim. Ale także wiele innych osób, od członków jego rodziny począwszy, płaciło gigantyczną cenę za swoje zaangażowanie i przekonania. Zaciągnął tym samym ogromny dług, którego nie sposób byłoby spłacić – to zwiększało tylko jego poczucie winy.

WIĘZIEŃ NIE BYŁ NICZYIM NIEWOLNIKIEM

W roku 1964 cudem uniknął kary śmierci. Był już na nią przygotowany, wraz z jeszcze jedną oskarżoną osobą. „Braliśmy pod uwagę taką ewentualność – opowiadał w wywiadzie udzielonym Ahmedowi Kathradzie długo po swoim uwolnieniu. – Gdyby tak się stało, zginęlibyśmy otoczeni chwałą. Radowała nas świadomość, że nasza egzekucja byłaby naszym ostatnim darem dla ludu i organizacji” [1]. Ta eucharystyczna wizja była jednak zupełnie pozbawiona pragnienia męczeństwa. I, w przeciwieństwie do wszystkich innych, od Rubena Um Nyobè do Patrice’a Lumumby, poprzez Amilcara Cabrala, Martina Luthera Kinga, a nawet Mohandasa Karamchanda Gandhiego, uniknął kuli lub stryczka.

W więzieniu na Robben Island Mandela doświadczył pracy przymusowej, patrzenia na śmierć i wygnania. Tam przeszedł najcięższe próby, oddalenie od świata i powrót do najprostszych ludzkich form ekspresji. Nauczył się żyć w celi, spędził w niej ponad 20 lat, jak żywy zmuszony spędzić swoje życie w trumnie [2].

W ciągu niekończących się, straszliwych godzin samotności graniczącej z szaleństwem na powrót odkrywał to, co

najważniejsze, to, co kryje się w milczeniu i w szczególe. Wszystko miało swoje znaczenie: biegnąca nie wiadomo dokąd mrówka; zakopane ziarenko, które ginie i znów się odradza, dając złudzenie ogrodu; koniec kija – wszystko jedno który; cisza posępnych dni, podobnych do siebie jak dwie krople wody i jakby niemijających; czas ciągnący się w nieskończoność; powolność dni i chłód nocy; słowa – tak rzadko słyszane; świat za murami, skąd nie dochodził już żaden szum; otchłań, jaką było Robben Island; ślady zamknięcia na rzeźbionej bólem twarzy, w oczach zgaszonych światłem słonecznym załamującym się w kwarcu, we łzach, co już nie są łzami; pył na coraz bardziej widmowej twarzy, pył w płucach i na palcach stóp; wszystkie te radosne, szczere uśmiechy; i dumna, wyprostowana postawa, i zaciśnięta pięść gotowa na spotkanie świata, na rozpętanie burzy.

Pozbawiony prawie wszystkiego, walczył desperacko o zachowanie resztek człowieczeństwa, jakie więzienni dozorczy za wszelką cenę próbowali mu odebrać, by zwieńczyć swój triumf. Żyjąc niemal bez niczego, nauczył się wszystko oszczędzać, a także kultywować głęboką obojętność wobec zwykłych spraw, w tym seksualnych przyjemności. Więzień zamknięty w czterech ścianach nie był już niczym niewolnikiem.

MARZENIE W ŚWIECIE, KTÓRY MARZEŃ SIĘ WYRZEKA

Mandela, człowiek z krwi i kości, żył więc na skraju katastrofy. Zagłębił się w nocy życia, w ciemnościach, poszukując idei – chcąc się dowiedzieć, jak żyć bez pojęcia rasy, bez jej panowania. Życiowe wybory zaprowadziły go nad brzeg przepaści. Fascynował świat, bo wrócił żywy z krainy cieni, bo u schyłku starzejącego się stulecia, które nie umiało już marzyć, był tak pełen mocy.

Nasza nowoczesność, podobnie jak XIX-wieczne ruchy robotnicze, a także ruchy kobiece, to konsekwencja marzenia o zniesieniu niewolnictwa. Dalszym ciągiem tego marzenia była na początku XX w. walka o dekolonizację. Polityczna praktyka Mandeli

wpisuje się w te dzieje afrykańskiego boju o emancypację człowieka.

Walki te od początku przybierały wymiar ogólnoświatowy. Ich znaczenie nigdy nie było tylko lokalne, lecz zawsze uniwersalne. Choć mobilizowały oczywiście lokalnych aktorów, w określonych krajach czy na narodowych terytoriach, pierwotnie były jednak skutkiem solidarności zrodzonej na poziomie światowym, ponadnarodowym.

W wyniku tych działań za każdym razem zwiększano zakres praw, które do tej pory były przywilejami jednej rasy. W XIX w. sprzecznościom nowożytnych demokracji akceptujących niewolnictwo położył kres triumf abolicjonistów. Przykładowo w Stanach Zjednoczonych dwa zjawiska – wyzwolenie ludzi pochodzenia afrykańskiego i walka o prawa obywatelskie – umożliwiły pogłębienie idei oraz rozszerzenie praktyki równości i obywatelskości.

Podobny uniwersalizm cechuje ruch antykolonialny. Bo do czegoż on dąży, jeśli nie do odzyskania władzy przynależnej z urodzenia – władzy stania na własnych nogach, tworzenia wspólnoty, samookreślania się?

Jako symbol globalnej walki z apartheidem Mandela rozszerza te znaczenia. Celem jest tu stworzenie wspólnoty ponadrasowej. Chociaż rasizm powraca w mniej lub bardziej nieoczekiwanych formach, sukces projektu powszechnej równości jest na wyciągnięcie ręki.

Wypada jeszcze powiedzieć słowo na temat Republiki Południowej Afryki, jaką Mandela po sobie zostawi.

OD KONTROLI DO KONSUMPCJI

Przejście od społeczeństwa kontroli do społeczeństwa konsumpcyjnego jest zapewne jedną z najistotniejszych transformacji od chwili uwolnienia Mandeli i końca apartheidu. W czasach apartheidu kontrola polegała na osaczaniu czarnych i

ograniczaniu ich mobilności. Wyznaczano przestrzenie, w których mieli prawo przebywać, i zmuszano ich, by pracowali jak najwięcej. Dlatego utworzyły się mikrośrodowiska, funkcjonujące jako rezerваты izolowane od reszty świata. Kontakty między jednostkami – zwłaszcza należącymi do odmiennych kategorii rasowych – były zakazane bądź w ścisły sposób regulowane. Kontrola dotyczyła modulacji brutalności wzdłuż linii podziałów rasowych, które władza traktowała bardzo restrykcyjnie.

Brutalność pełniła w czasach apartheidu trzy funkcje. Z jednej strony miała osłabić zdolność czarnych do zapewnienia sobie społecznej reprodukcji. Nigdy nie udawało się im zebrać środków wystarczających do tego, by wieść godne życie, zarówno jeśli chodzi o dostęp do pożywienia, mieszkania, edukacji czy służby zdrowia, jak i – tym bardziej – jeśli chodzi o podstawowe prawa obywatelskie. Z drugiej strony brutalność miała wymiar cielesny. Jej celem było unieruchomić, sparaliżować, a w razie potrzeby połamać ciało. I – trzeci aspekt – próbowała zniszczyć zdolność ofiar do tworzenia własnego świata symbolicznego. Energię czarnych mieszkańców RPA przez większość czasu pochłaniało trudne zadanie: przeżycie. Byli zmuszeni funkcjonować w jeden tylko sposób – ciągle, nieodmiennie powtarzając to samo. Takie były cele i skutki rasizmu.

Wymienione formy brutalności i przemocy zostały uwewnętrznione dużo głębiej, niż chcielibyśmy przyznać. Od roku 1994 są nieustannie cząstkowo odtwarzane na poziomie życia wspólnotowego i publicznego. Przejawiają się na wszystkich piętrach codziennych interakcji społecznych – w intymnych sferach życia, w strukturach pożądania i seksualności, a jeszcze silniej w niepohamowanym pragnieniu konsumpcji wszelkiego rodzaju towarów.

Ten dziki pęd do konsumpcji uważany jest za samą istotę demokracji i obywatelstwa. Przejście od społeczeństwa kontroli do społeczeństwa konsumpcyjnego dokonało się dla większości

czarnych w kontekście różnych form ich wykluczenia. Nieprzystojne bogactwo i skrajna bieda istnieją obok siebie, a dzieląca te dwa stany przepaść pełna jest przemocy i różnych rodzajów zawłaszczania.

Pomandelowska demokracja to w większości czarni pozbawieni pracy i inni „niezatrudnialni”, którzy nie posiadają prawie niczego. Całe dzieje kraju naznaczone są przez sprzeczność tych dwóch zasad: rządów ludu nad ludem i praw posiadaczy.

Do niedawna ci ostatni byli prawie bez wyjątku biali, dlatego walka miała konotację rasową. Częściowo uległo to zmianie. Tworząca się czarna klasa średnia nie może się jednak bezpiecznie cieszyć pełnią dopiero co nabytych praw. Jej przedstawiciel nie może być pewny, że domu kupionego dziś na kredyt jutro mu nie odbiorą – siłą bądź za sprawą niekorzystnych dla niego warunków ekonomicznych. Brak poczucia pewności jest jedną z cech charakteryzujących tę wyłaniającą się właśnie nową klasę.

UTOWAROWIENIE I REDYSTRYBUCJA PRZEMOCY

Stary ruch wyzwolenia, Afrykański Kongres Narodowy (African National Congress, ANC), został schwytyany w pułapkę jeszcze większej sprzeczności. Z kalkulacji robionych przez klasy u władzy i przez właścicieli kapitału wynika, że bieda mas i ogromne nierówności mogą, w pewnych okolicznościach, prowadzić do zamieszek, strajków i licznych brutalnych incydentów. Lecz nie zaowocowało to bynajmniej powstaniem żadnej alternatywnej koalicji, zdolnej skutecznie zakwestionować kompromis z 1994 r. przyznający władzę polityczną Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu, zaś panowanie nad gospodarką i kulturą – białej mniejszości.

RPA wchodzi w nowy okres swojej historii – procesy akumulacji nie polegają już, jak w XIX w., na bezpośrednich wywłaszczaniach. Teraz dokonują się na drodze przejmowania i przywłaszczania źródeł publicznych przez osoby prywatne,

wykorzystania brutalności i panującego chaosu. Tak więc nowa, wielorasowa klasa panująca tworzy się jako hybryda, połączenie kilku modeli: rosyjskiego, chińskiego i postkolonialnego afrykańskiego.

Jednocześnie przestrzeń publiczna znów stopniowo się bałkanizuje. Geografia demograficzna kraju dzieli się na kawałki. Wielu białych porzuca hinterland i tworzy skupiska na wybrzeżu, szczególnie w Prowincji Przylądkowej Zachodniej. Boją się pełzających procesów „afrykanizacji” kraju i marzą o stworzeniu w tym miejscu podstaw białej republiki – bez dziedzictwa apartheidu, ale z ochroną swoich dawnych przywilejów.

Paradoksalne przywiązanie do psychicznej konstrukcji czasów segregacji rasowej przynajmniej częściowo tłumaczy zachodzący proces przekształcania RPA w kraj uzbrojonych obywateli, rodzaj państwa-garnizonu z głęboko skorumpowaną i zmilitaryzowaną policją. Bogacze kupują sobie iluzję bezpieczeństwa od tysięcy prywatnych firm ochroniarskich, których właścicielami są w większości baronowie trzymający władzę i ich zauszniczy [3].

Nowy ustrój, polegający na kontroli przez towary, opiera się na drastycznej redystrybucji środków przemocy. A społeczeństwo po zęby uzbrojone na pewno nie jest społeczeństwem obywatelskim, a tym bardziej prawdziwą wspólnotą. Jest tylko konglomeratem oddzielnych jednostek, odizolowanych od władzy, odseparowanych od siebie nawzajem przez strach i podejrzania, niepotrafiących zebrać się razem. Jednostek, które nie umieją budować skutecznych organizacji niezbędnych do funkcjonowania demokratycznego społeczeństwa, za to łatwo ulegają wpływom militarystów i demagogów.

PO PIERWSZE, JEST TYLKO JEDEN ŚWIAT

Poza tym warto jeszcze zapamiętać dwa wnioski płynące z życia i działania Nelsona Mandeli. Po pierwsze, że jest tylko jeden

świat – przynajmniej w tej chwili – i jest on wszystkim, co mamy. Z tego zaś wynika druga rzecz: poczucie czy pragnienie bycia człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu jest wspólne dla nas wszystkich. Łączy nas pragnienie pełni człowieczeństwa.

Ażeby stworzyć ten wspólny świat, należy zwrócić kobietom i mężczyznom, którzy przeżyli w swoich dziejach proces oderwania i urzeczowienia, skradzioną im część człowieczeństwa. Lecz świadomość wspólnego świata nie pojawi się, dopóki ludzie znajdujący się w sytuacji skrajnego ubóstwa nie uciekną od warunków skazujących ich na piekło poczucia niższości. W myśli Mandeli pojednanie i zadośćuczynienie są warunkami zbudowania wspólnego świata, tzn. dokonania się powszechnej sprawiedliwości. Doświadczenie wieloletniego uwięzienia przekonało go, że każda ludzka istota nosi w sobie część człowieczeństwa. Ten niezniszczalny element przynależy każdemu z nas. Sprawia, że – obiektywnie rzecz biorąc – jednocześnie różnimy się od siebie i jesteśmy do siebie podobni. Etyka pojednania i zadośćuczynienia zakłada też uznanie tego, co można by nazwać częścią innego – która nie należy do mnie, a jednak jestem, czy tego chcę czy nie, jej gwarantem. Nie mógłbym jej sobie przywłaszczyć, nie pogwałcając przy tym idei osoby, sprawiedliwości, prawa, a nawet samej ludzkości – czy projektu całego świata, bo taki jest ostateczny cel.

W takich okolicznościach nie ma sensu tworzyć granic, budować murów, dzielić, klasyfikować, hierarchizować, odcinać od ludzkości tych, którzy zostali poniżeni, którymi się pogardza, którzy są do nas niepodobni, z którymi – jak nam się wydaje – nigdy się nie porozumiemy. Jest tylko jeden świat i wszyscy jesteśmy jego współspadkobiercami, choć zamieszkujemy go na tyle różnych sposobów (co jest prawdziwą przyczyną wielości kultur i stylów życia). Mówiąc to, w najmniejszym stopniu nie zamierzam ukrywać, że spotkania różnych społeczeństw i narodów wciąż charakteryzuje brutalność i cynizm. Chciałbym jedynie przypomnieć ten niezaprzeczalny fakt, że podwaliną

współczesności jest nieodwracalny proces mieszania się i przenikania kultur, społeczeństw i narodów.

Nierzadko pragnienie odróżnienia się pojawia się właśnie tam, gdzie doświadczenie odrzucenia jest najintensywniejsze. Podkreślanie różnic jest więc przewrotnym sposobem wyrażenia pragnienia uznania i akceptacji. Dla tych, którzy doświadczyli kolonialnej dominacji, dla tych, którym w pewnej dziejowej chwili odebrano ich część człowieczeństwa, odzyskiwanie jej zaczyna się często od zaznaczenia własnej odrębności. Ale, co widać czasem we współczesnej afrykańskiej myśli, to tylko pewien moment szerszego procesu. Chodzi o projekt nadchodzącego, rysującego się przed nami świata; świata, którego przeznaczeniem jest uniwersalizm, świata uwolnionego od brzemienia ras, ale także od resentymentu i tego pragnienia zemsty, które każe każdy problem sprowadzać do rasizmu.

Autor: Achille Mbembe

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

O AUTORZE

Achille Mbembe – filozof i politolog kameruński. Profesor Historii i Nauk Politycznych na Uniwersytecie Witwatersrand w Johannesburgu. Autor m.in. *De La Postcolonie, essai sur l'imagination politique dans l'Afrique contemporaine* (2000), *Sortir de la grande nuit – Essai sur l'Afrique décolonisée* (2010).

PRZYPISY

[1] Nelson Mandela, *Conversations with Myself*.

[2] Patrz: Nelson Mandela, *Długa droga ku wolności*.

[3] Patrz: Sabine Cessou, „RPA: trzy demonstracje dziennie”, *Le Monde diplomatique – edycja polska*, marzec 2013.